

M

ój ojciec, Mistrz Wiertarski i zasłużony pracownik zakładów budowniczro-rozbiórkowych Hansa-Dietricha Lehmana, sapie, pochrząkuje i poświstuje zdejmując z siebie górne, a następnie dolne części garderoby. Czeką go godzina przyjemności-z-osobą-innej-plci. Okupił to nadwyżką swego całonocnego trudu, jaka została mu po opłaceniu potrzeb jedzopitnych i mieszkalnych, a także po oddaniu pewnej kwoty na cele moje i moich potrzeb. Od kiedy umarła matka, regularnie co niedzieli odwiedza najbliższy zamtuż zwany „Posepne Westchnienie”, by rozładować żądze i frustracje nagromadzone w ciągu sześciu dni roboczych.

Więc teraz sapie i pochrząkuje, a następnie zapewne położy się na łóżku koloru czerwonego, wyzwalającego męskie siły witalne i znacznie wykorzystywać swój czas. Tak to sobie przynajmniej wyobrażam podczas ostatniej destylacji. Zawsze, gdy ojciec obiera kurs na Pos-Westchty, wyciągam z umiejętności zamaskowanej skrytki zakupy w głębokiej tajemnicy sprzęt i wytrwale eksperymentuję. W przyszłości zostanę wielkim chemikiem i otrzymam Nagrodę Nobla, a może dwie lub trzy. Przedtem rzecz jasna będę musiał dokonać kilku odkryć, które zmienią bieg ludzkości, tak jak tama zmienia bieg rzeki, a kierowca bieg w samochodzie. Nad jednym z nich właśnie naukowo pracuję. Ojciec jednak w swej zawziętości chce, by moja kariera potoczyła się tunelem utartym przez udarowe końcówki. Najpierw Czładnictwo, a potem Mistrzostwo Wiertarskie w zakładach budowniczro-rozbiórkowych Hansa-Dietricha Lehmana. Na razie więc jestem Uczniem. Nie robię jednak postępów oczekiwanych przez ojca, a nawet próbuję cofać się w tył. Nauczyciele czasami odkrywają to i biją mnie młotkami po rękach. Prózne są ich wysiłki, gdyż tak czy inaczej zostanę wielkim chemikiem. Za rok będę pełnoletni i władza rodzicielska mego ociawiertacza rozwije się jak pył na budowie. Wtedy wystąpię ze Szkoły Wiertarsko-Murarskiej im. Hansa-Dietricha Lehmana i zapiszę się na uniwersytet. Myślę, że gdy dokonam swego odkrycia, przyjmą mnie, mimo braku matury. A ojciec będzie mógł wtedy wskoczyć mi na pukiel i wolać o cukier.

Gardzę środowiskiem wiertarsko-murarskim, jak gardzę środowiskiem bogactwo-snoibistycznym oraz szpanersko-dyskotekowym. Zachowanie pełne obrzydliwego pseudoluzu i przeżarty żargonowymi naleciałościami język moich rówieśników wywołują u mnie głęboki i silny niesmak. Ich kult przemocy, twardości i pieniądza wydaje mi się nienauko-

wy i godzien najwyższej pogardy. Dlatego staram się mówić i pisać, a także czytać odmiennie niż oni. Na pewno to zauważyliście – jeszcze co prawda nie bardzo mi to wychodzi, ale czynię w tym temacie szybkie kroki do przodu. Trochę przeszkadza mi ojciec, używając na co dzień grubiańskich i oklepianych słów w rodzaju „kurwa” i „pierdolić”; uważa on, że prawdziwy mężczyzna powinien wypowiadać te słowa jak najczęściej. Ale ja lawiruję umiejętnie i wypowiadam je tylko w sytuacjach bez wyjścia.

Reakcje żwawo posuwają się naprzód. Jeszcze trochę i osiągnę pierwszy w swym życiu sukces. Gdyby nie ojciec, zabraniający mi uprawiać naukę, mógłbym uzyskać wyniki wiele miesięcy wcześniej. A tak muszę ukrywać swój sprzęt, jak robili to podczas wojny członkowie konspiracji ze swymi radiostacjami i karabinami, używam go jedynie w chwilach nieobecności wiertarskości w naszym domu. Zielone i brązowe płyny naukowe bulgocą mi w probówkach. Tak samo bulgoce zapewne w tej chwili mój ojciec, odprawiając w Pos-Westchach misterium jebacji. Przepraszam bardzo, ale musiałem użyć tego słowa, gdyż nic lepszego nie przyszło mi do głowy, a dokończyć myśl raz zaczęta trzeba zawsze. No więc płyny bulgocą i bulgocą, a od czasu do czasu syczą. Patrzę z wielkim zadowoleniem, a na twarzy zgłębia mi się uśmiech błogi jak zupa. Zaglądam do swoich notatek. Upewniam się, czy nic nie pomyliłem. Teraz czekam, aż wytworzy się ostateczny preparat.

Płyny zlewają się ze sobą, syżąc i pochrząkując. Tak samo syży i pochrząkuje zapewne... nie, nie mogę się rozprasać, bo właśnie w tym momencie zachodzi chwila decydująca. A może jest to moment decydujący i zachodzi w chwili? Nieważne. Oto bowiem na własne oczy widzę, jak tworzy się nowa jakość. Dotychczas pojęcie to znalazłem jedynie z książek pieczołowicie ukrywanych przed światem wiertarskim. Zdobywałem te książki jak złodziej, zanim nie zrozumiałem że odkrycia, których dzięki nim dokonam, uczynią fakt kradzieży chwalebny z punktu widzenia interesów ludzkości.

W nabożnym skupieniu patrzę na powstały Preparat. Kontempluję swoje debiutanckie odkrycie jak niegdyś minisi kontemplowali pojęcie bytu samego w sobie. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że muszę uczcić ten fakt wykazując się w jego obliczu tymi okrucami wiedzy, jakie zdołałem do tej pory zgromadzić. Naprawdę powtarzam w myślach ciąg reakcji, uważając, by to, co jest substratem było nazywane substratem, a to, co jest produktem, było nazywane produktem. W porządku. Teraz ostrożnie zlewam preparat do wymytej i wyparzonej uprzednio buteleczki. Skończyła się faza produkcyjna odkrycia. Trzeba teraz wypróbować je w praktyce, jako że ta jest według moich książek ostatecznym kryterium prawdziwości czegośkolwiek. Składam więc i chowam sprzęt oraz inne materiały; wkrótce przyjdzie tu mój ojciec, Mistrz Wiertarski i będzie oczekiwał atmosfery odpo-

Wielkim chemikiem zostać

Jacek Sierpiński

wiedniej do swych zainteresowań. Wyciągam na wierzch wiertarkę, po czym wietrzę dokładnie pokój. Teraz ojciec niczego nie zauważy. Może spokojnie oglądać tu telewizor i magnetowid, czyli po szpanersku wideo. Wkładam buteleczkę z Preparatem do kieszeni. Wychodzę. Próba odbędzie się w terenie.

Krażę w pobliżu dyskoteki Czerwone Kręgi – siedlika wulgarnego pseudouluczactwa i wyżywactwa. Dochodzą mnie obrzydliwe dźwięki tego, co szpanerzy uważają za muzykę. Słyszaleniem, że przy jej rytmach oddają się porubstwu (rozpuszc) i tańcowi, a czasami dają upust swej sile, która w ich środowisku uchodzi za rzecz imponującą. Myślę też, że piją tam grubiański alkohol i jedzą różne bezsensowne świństwa, o których lepiej nie mówić. Ale to ich sprawa – na starość będą płakać, że się nie samorealizowali. Ścisłkam w kieszeni buteleczkę.

Widzę, jak moi rówieśnicy z czubami na głowach awanturują się przed wejściem, wyrażając nawet policjantom czuwającym w pobliżu nad porządkiem. Widzę, jak przed dyskotekę zajeżdżają drogie automobile, z których wysiadają, wypęczają lub wylażą strojne, wypaczone parki. Widzę rozryczaną grupę murarzy i wiertaczy – poznają po uniformach – jak prosto z roboty wkraczają w wir tej prymitywnej zabawy.

Wreszcie widzę to, na co czekam. Samotna dziewczyna o bardzo szpanersko-dyskotekowym wyglądzie wychodzi z zataczając się z budynku. Nie wsiada do żadnego z autombilii. Idzie pieszo. Nie waham się ani chwili. Skradam się za nią jak kolonia bezgłównych bakterii. Gwar dyskoteki powoli się oddala. Dookoła rzadko rozrzucone domki z wyga-

szonymi światłami w oknach. Jest druga w nocy.

Szpanerka przyspiesza kroku; boi się, by ktoś jej nie napadł. Dzisiejszej nocy przeżyje jednak gorzkie rozczarowanie. To właśnie ja ją napadnę.

Napadam. Dziewczyna ani zapięła, zaskoczona. Zalepiam jej usta grubym, szorstkim plastrem i wiążę ją cienkim drutem, wpijającym się w kostki i nadgarstki. Potem czekam, aż odzyska przytomność.

Gdy tylko otwiera oczy, zaczynam ją bić. Na początek uderzam ją w oblicze. Potem kopię – w brzuch, pomiędzy nogi, w plecy. Nie mam wprawdzie takiej wprawy w biciu, jak moi rówieśnicy, ale muszę je wykonać. To należy do próby. Rejestruję zachowanie się szpanerki; gdy wydaje mi się, że osiągnęła już wysoki stopień nienawiści, przerywam bicie. Teraz muszę ją zgwałcić. Wielokrotnie wdziałem w telewizorze i magnetowidzie, jak to się robi. Myślę, że podolałam temu zadaniu. Brutalnie, po wiertarsku zdzieram z niej górne i dolne części garderoby. Staram się też pochrząkiwać i sapać. Następnie rozpinam spodnie i kładę się na dziewczynę. Trwa to dziesięć minut. Przez cały czas staram się zachowywać jak moi rówieśnicy ze Szkoły Wiertarsko-Murarskiej im. Hansa-Dietricha Lehmana. Zauważam, że szpanerka odczuwa to i docenia.

Dobrze. Zapinam spodnie. Ostrożnie wyciągam buteleczkę z Preparatem. Zdzieram ostrym szarpnięciem plaster. Siłą rozwieram szczęk dziewczyny i wiewam parę kropel. Z niepokojem czekam na rezultat. Robiłem wszystko tak, jak dyktowało mi natchnienie podczas bezsensownych, twórczych nocy, ale mimo to mam obawy. Co będzie, jeśli któraś z próbek okaże się zanieczyszczona? Jeśli zamiast pierwszej w świetle substancji wywołującej w sposób sztuczny uzależnienie chemiczne zwane miłością, wyszedł zwykły środek odurzający albo wręcz trucizna? Spojrzanie dziewczyny zmienia się. Nie ma w nim już strachu, nie ma nienawiści. Nawet szpanerstwo niemalże znika z jej rysów. Wyciąga do mnie ręce.

– Kocham cię – mówię.

– Naprawdę? – pytam. – Pamiętasz, co było przed chwilą?

– Pamiętam – odpowiada. – Ale teraz to nieważne. Przecież cię kocham. Miłość wszystko wybaczy.

Całujemy się w milczeniu. Nawiasem mówiąc, jest to mój pierwszy pocałunek w życiu. I zapewne ostatni, jak sądzę. Ale ostatecznie rozwiewa moje wątpliwości.

Tak. Kocham. Zostanę wielkim chemikiem.

Jacek SIERPIŃSKI

Autor znany naszym Czytelnikom jako Hotlyssa-Hotland („Fantastyka” 4/87) jest oryginalnym tajemniczym i intrygującym. Zaspisuje redakcję prowokacyjnymi listami (i opowiadaniem) wywołanymi z Zaiwodziem, w których pod sztubacką szarą i czarną i niebawo Hotlyssa-Sierpiński z czytelnikami przekorną grę; zdaje się ich drażnić, obrażać i zarazem zapraszać do tańca. W numerze 2/89 przedstawiłmy jego opowiadanie „Życie w osiedlach nad Ręką”. Kilka innych jego tekstów zatrzymano mi na redakcyjnych siłach; autorzy czwartej generacji, których znam, wypowiadali się o jego propozycji bez rezerwy. Ale, proszę, przeczytajcie Panstwo „Wielkiego chemika...” uważnie. Są w tym opowiadaniu tony, których polskiej fantastyce brakuje. Jest drwina z szablonów, z konwencji; jest dystans do świata; pokazanego nby naiwnie, lecz ostro, bez sentymentów. Może jeszcze polubimy Hotlyssa? (mp)